

• DAGMARA •
LESZKOWICZ-ZALUSKA

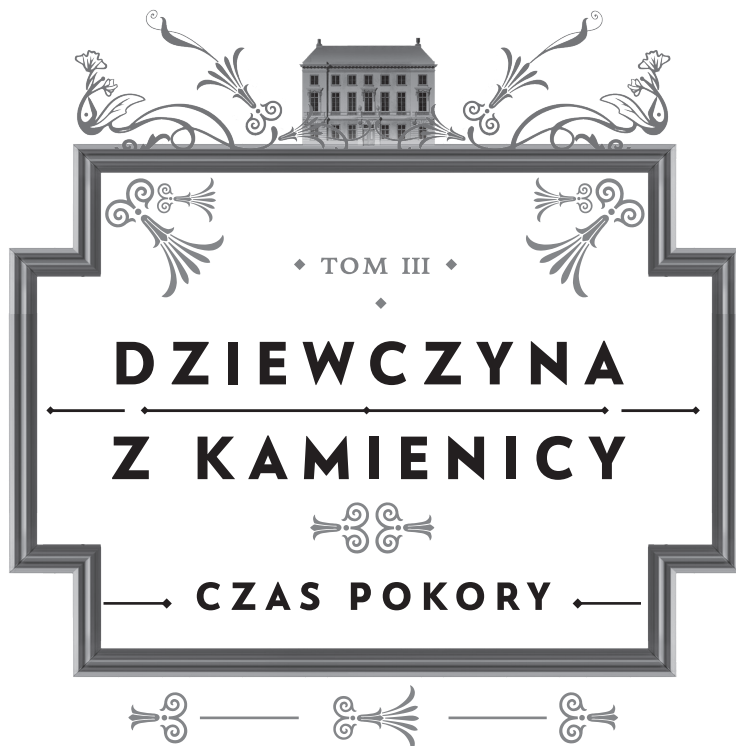
DZIEWCZYNA
♦ TOM III ♦
Z KAMIENICY



→ CZAS POKORY ←



◆ DAGMARA ◆
LESZKOWICZ-ZALUSKA



Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska
Wydawczyni: Joanna Pawłowska
Redakcja: Olga Gorczyca-Popławska
Korekta: Beata Wójcik
Projekt okładki: Urszula Gireń
DTP: pagegraph.pl

Copyright © by Dagmara Leszkowicz

Copyright © 2024, Wydawnictwo Kobieta Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2024
ISBN 978-83-8321-906-6

Grupa Wydawnictwo Kobieta | www.WydawnictwoKobieta.pl



Prolog

Sierpniowa noc 1943 roku była duszna i bezwietrzna.

Powietrze lepilo się od miejskich wyziewów i przyklejało do ciała, sprawiając, że człowiek miał wrażenie, iż się dusi. Korytarze wąskich pleszewskich ulic były dodatkowo dogrzewane przez gorący bruk, ciepłe mury i blaszane dachy rozpalone od promieni słonecznych. Za dnia, kiedy człowiek się ruszał, lepkość i duszność nie były dojmujące, ale w nocy wręcz nie dawały żyć.

Helena długo nie mogła zasnąć, a wysłużone sprężyny małżeńskiego łoża Gellertów skrzypiały przy każdym, nawet najlżejszym, ruchu. Powoli i ostrożnie, tak by nie obudzić Feliksa, wstała z łóżka i podeszła do komody, na której stał metalowy kubek z wodą. Sama przyniosła ją ze studni wieczorem, ale woda pod wpływem temperatury zdążyła się już ogrzać i zamiast orzeźwiającego chłodu młoda Szewczyńska poczuła nieprzyjemne ciepło, które nieco ugasiło pragnienie, ale zupełnie nie dało wytchnienia od wszechobecnego gorąca.

W pokoju było ciemno, ale mdła lampa oświetlająca Gnesenstrasse dawała lekką poświatę, w której Helena dostrzegła zarysy mebli i spokojnie śpiącego męża. Przez chwilę stała nieruchomo z kubkiem w ręku, patrząc to na okno, to na Feliksa, i przypomniała sobie, jak to z małą Ryfką lata temu skakały po tym łożu, gdy bawiły się w „żabki”, a mama Racheli, Estera Gellert, goniła je z krzykiem, że gniotą

starannie wyprasowaną pościel. Westchnęła na samo wspomnienie mamy Ryfki i dawnych czasów i – jak zwykle kiedy myślała o przyjaciółce i jej rodzicach – coś ścisnęło ją w okolicy serca.

Odstawiła kubek i cicho, idąc powoli tuż przy meblach, by nie deptać wysłużonych i skrzypiących desek, wyszła z pokoju. Znała każde skrzyknięcie, wszak przez całe lata mieszkanie pod dwójką było jej drugim domem.

Zajrzała do dużego pokoju, zwanego niegdyś przez Gellertów salonem, który teraz pełnił funkcję pokoju dziennego i sypialni Henryki. Mama Feliksa spała spokojnie. Helena skierowała się do końca korytarza, do pokoju, który dawno temu należał do Ryfki i jej brata Dawida.

Weszła bezszelestnie, podchodząc najpierw do jednego wąskiego łóżka, na którym gromko chrapała babcia Adela, a potem do drugiego, w którym leżała jej siedmioletnia córeczka Krysia. Jasne włosy dziewczynki były rozsypane na poduszce na kształt aureoli. Krysia spała spokojnie, tuląc do siebie wysłużonego misia Kosia, którego wytłupiate szklane oczka były skierowane na nią w groteskowym niby-spojrzeniu.

Helena zaśmiała się pod nosem. Misia kupiła jeszcze za do- brych, spokojnych czasów, kiedy Krysia miała trzy lata. Szły któregoś dnia niespiesznie ulicą w kierunku Jeżyc, gdzie wraz z Feliksem zajmowali czteropokojowe mieszkanie w eleganckiej kamienicy, a ona była taka szczęśliwa, gdyż jej kolejny felieton o zakopiańskiej pianistce Jadwidze Bayerównie*, który ukazał się w „Nowej Przyjaciółce”, został dostrzeżony przez samą Bayerównę. W podziękę za kilka ciepłych słów pianistka zaprosiła Helenę wraz z rodziną na koncert do lokalu Morskie Oko. Młoda

* Polska pianistka i nauczycielka muzyki ze Lwowa. Całe zawodowe życie spędziła na Podhalu (wszystkie przypisy pochodzą od autorki).

Szewczyńska szła wówczas podekscytowana rychłym wyjazdem w dalekie góry, a jej córka biegła wolnym truchtem tuż przed nią – mała, beztroska dziewczynka, której warkoczki podskakują w takt każdego podskoku. Kiedy w jednej z eleganckich witryn sklepu z zabawkami zobaczyła białego, puchatego misia, przykleiła do niej nos, a potem tak długo patrzyła błagalnie na matkę, aż ta nie była w stanie jej odmówić.

Od tego momentu Krysia i Kosio byli nierozłączni. Przetrwał z nią wyjazd na wakacje z Poznania do Pleszewa, który okazał się wyjazdem na stałe, przetrwał przesiedlenie z mieszkania dziadków Szewczyńskich do mniejszego, po Gellertach, przetrwał każdą wylaną łzę strachu, a nawet trochę łez radości.

Jej córka umiała cieszyć się z małych rzeczy, była chodzącym uśmiechem.

Helena popatrzyła na nią z czułością. Od dziewczynki bił spokój, którego jej samej teraz brakowało. Stała przez chwilę, głaszcząc Krysię po głowie. Miała wrażenie, że ten z pozoru nic nieznaczący gest, to pogłaskanie śpiącego dziecka, daje jej siłę.

Stała i stała, głaszcząc dziewczynkę, aż wydało jej się, że słyszy jakiś dźwięk. Z minuty na minutę stawał się on coraz wyraźniejszy i nie, nie było to tylko wrażenie. Dudniący odgłos marszu zbliżał się do ich kamienicy, a Helena poczuła, że serce bije jej coraz głośniejsze, bo niemal od czterech lat taki szybki marsz w nocy nie wróżył niczego dobrego.

Odjęła rękę od głowy córki i podbiegła do okna. Ulica Gneisenstrasse była pusta, co – nie wiedzieć czemu – jeszcze bardziej ją zaniepokoiło. Otworzyła powoli skrzydło okna i wychyliła się w kierunku rynku, skąd dochodził dźwięk.

Najpierw dojrzała jedynie zarys sylwetek ludzi idących równym krokiem, ale już po chwili zaczęła rozróżniać poszczególne postaci. Jedna, ta na przedzie, miała na sobie długi czarny płaszcz, a na

rękawie opaskę. Helena nie widziała jej dokładnie, ale nie musiała widzieć, by się domyślać, że to opaska ze swastyką.

Przerażenie ścisnęło jej gardło. „Byle nie do nas, to na pewno nie do nas”, powtarzała pozytywne myśli, ale te na nic się zdały, gdyż postaci zatrzymały się przy bramie kamienicy, a mężczyzna w płaszczu począł w nią głośno walić kolbą karabinu.

Słyszała głuchy tępy odgłos i przez chwilę stała jak w stuporze, naiwnie wierząc, że skoro nikt nie otwiera, to na pewno pomyśla, że kamienica jest pusta. A przecież musiała im otworzyć, lepiej tak, niżby mieli zacząć strzelać. Otwieranie było jej obowiązkiem, wszak od kilku lat pracowała we własnej kamienicy jako stróż porządku. Pan Lisiak zmarł jeszcze przed wojną, potem na krótko obowiązki przejął emerytowany pan Białas, a kiedy i jego wywieźli na roboty do Niemiec, a szkopy wprowadzili obowiązek pracy, jej przypadło w udziale pilnowanie bramy.

Naprędcie chwyciła chustkę babki, owinęła nią prostą koszulę nocną, chwyciła klucze od bramy i zbiegła na dół.

– *Sofort aufmachen!** – usłyszała już na klatce schodowej, gdy zbiegała co sił boso w kierunku bramy, kalecząc sobie stopy o poharatany beton podwórka.

Drżącymi rękami przekręciła duży klucz w kłódce, a po chwili skrzydło drzwi zostało otwarte tak zamasyście, że niemal przygniotło ją do ściany. Kilku mężczyzn weszło do środka.

– *Was is hier los?*** – W drzwiach ich dawnego mieszkania ukazała się jasna, wysoka sylwetka obecnego lokatora, Huberta Grunwalda.

Ten, w przeciwieństwie do niej, był ubrany elegancko w tuzurek, który mienił się błyszczącą szarością w słabym świetle

* Otworzyć natychmiast! (tłum. z j. niem.).

** Co tu się wyprawia? (tłum. z j. niem.).

kamienicznej latarni. Za Grunwaldem z cicha poszcze kiwał Rex, duży i silny owczarek niemiecki.

Niemiec w płaszczu – Helena nie miała wątpliwości, że to gestapowiec – najpierw spojrział wrogo na nią, a później rzucił okiem na Grunwalda.

– *Geht sie nichts an, gehen sie nach Hause!** – warknął i zrobił krok w przód. – *Wo lebt Stefania Ney... Ney...* – począł się jąkać, najwyraźniej próbując sobie przypomnieć wymowę nazwiska.

Z pomocą pospieszył mu jeden ze współtowarzyszy, który wyglądał jak oprych. Helena mogłaby przysiąc, że widziała go niedawno w okolicach więzienia przy ulicy Kaliskiej. Szepnął mu coś do ucha, a gestapowiec po chwili wydukał:

– *Nehmyhska-Fridman!*

– *Aber Meine Herren, hier wohnen nur andständige Menschen*** – krygował się niezrażony Grunwald, co jeszcze bardziej rozwścieczyło gestapowca.

Rex szcze kał i szcze kał, a właściciel próbował go uciszyć głośkaniem i lekkim odpychaniem w tył, podczas gdy stał cały czas wyprostowany jak struna.

– *Hier leben nur Polacken, willst du sie verteidigen, du Dummkopf?!**** – Gestapowiec wydawał się zniecierpliwiony uporem krajana. Odwrócił się ponownie do Heleny i popychając ją w kierunku środka podwórka, zakomenderował: – *Führe mich zu Stefania!*****

Myśli Heleny płynęły przez głowę z szybkością błyskawicy. „Zmylić ich? Nie pokazać mieszkania? Ale co to da? Jeśli ona

* To nie pana sprawa, do domu! (tłum. z j. niem.).

** Ależ panowie, tutaj mieszkają sami porządni ludzie (tłum. z j. niem.).

*** Tutaj mieszkają same Polaczki, będziesz ich bronił, głupcze?! (tłum. z j. niem.).

**** Prowadzić mnie do Stefanii (tłum. z j. niem.).

nic nie powie, tak czy owak w końcu trafią do cioci, wszak już są na podwórku. Ostatecznie Grunwald powie, gdzie mieszka Stefania, nie fatygowali go z wiadomych powodów, ale w końcu powie... Jak nie będzie mówił, wejdą do każdego mieszkania, a przecież nie mogą narażać swojej rodziny na wizytę gestapo w środku nocy”.

Starła się iść powoli w drugą stronę podwórka, po której zresztą, oprócz wygódek i skromnego kurnika, nic nie było. Nic to jednak nie dało, Niemcy ponaglali ją szturchaniem w plecy. W pewnym momencie poczuła, że to nie ręka ją szturcha, tylko coś twardego. Karabin.

– *Es ist im zweiten Stock, die Nummer sieben...** – powiedziała cicho, w nadziei, że nie będzie musiała iść pod mieszkanie cioci i Eugeniusza.

Niedoczekanie. Gestapowiec pchnął ją jeszcze mocniej w kierunku drewnianych schodów.

– *Los jetzt!***

Nie doszli nawet do piętra, które zajmowali Białasowie i Terenia Tokarska, kiedy drzwi mieszkania Stefanii się otworzyły, a w nich – prosto i z dumnie podniesionym podbródkiem – stała sama Niemyjska-Fridman.

Helena wiedziała, że Stefania robi to, by chronić Eugeniusza i przybraną córkę. Nie potrafiła nic powiedzieć, ucisk w okolicy serca był coraz mocniejszy i dławił jej gardło.

– *Die Herren zu mir?**** – odezwała się Stefania opanowanym głosem, niemal jakby pytała o drogę.

Zza jej pleców wyłonił się Eugeniusz, który złapał żonę za ramię, jakby chciał ją wciągnąć z powrotem do domu.

* To na drugim piętrze, pod numerem siedem (tłum. z j. niem.).

** No już! (tłum. z j. niem.).

*** Panowie po mnie? (tłum. z j. niem.).

– Czesiu, to na nic. Opiekuj się Ziutką. – Niemyjska odjęła jego rękę od swojego ramienia i sięgnęła po niedużą torbę.

Najwyraźniej była przygotowana na ten dzień.

– Mamo, nie idź! Mamusiu! – Z głębi mieszkania dobiegł szloch dziecka i po chwili obok Eugeniusza, a tuż za Stefanią, ukazała się drobna postać w długiej koszuli.

Eliza Niemyjska *née* Trzaska wyglądała jak jej biologiczna matka Eleonora.

– Ziutko, uspokój się, to nic nie da, a tylko pogorszy sytuację. – Stefania pocałowała córkę w czoło i jeszcze raz przytuliła się do męża.

– Wróć.

– *Genug laufen sie hinter uns, sofort!** – Gestapowiec stał już w drzwiach, tuż obok Niemyjskiej, i trącał ją niecierpliwie karabinem.

– Ciociu! – wymknęło się ze ściśniętego gardła Heleny.

Podbiegła do Niemyjskiej, ale natychmiast została odtrącona przez opryszka, który podpowiadał nazwisko Stefanii. Uderzyła plecami o ścianę budynku, aż na jedną chwilę straciła oddech. Drugi z pomagierów gestapowca zatrzasnął drzwi przed nosem bladego Eugeniusza i szlochającej Elizy.

Niemcy – Helena domyśliła się, że byli to pracownicy więzienia – wymaszerowali szybko z podwórka, popychając co rusz Stefanię, i skierowali się do bramy. Helena odczekała chwilę, by pozostać niezauważona. Jednocześnie myślała o tym, że przecież zostawiła w widocznym miejscu w mieszkaniu kilkadziesiąt kopert do zaadresowania w języku niemieckim. Dopiero wczoraj dostała zlecenie, a Wiolin poleciła, by Stefania zostawiła koperty w punkcie łącznikowym na poczcie w Gołuchowie dosłownie następnego dnia. Jak mogła być tak lekkomyślna i ich nie ukryć?!

* Dosyć tego, za nami, już! (tłum. z j. niem.).

Na myśl o tym, że do mieszkania, w którym teraz spała jej najbliższa rodzina, ci oprawcy mogliby wejść tak samo jak do Stefanii, zrobiło jej się jeszcze słabiej.

Tym razem jednak przyszedli wyłącznie po Stefanię, która szła spokojnie, z podniesioną głową. Na tyle spokojnie, na ile pozwalały jej poszturchiwania Niemców. Równie spokojnie otworzyła bramę kamienicy, przez którą została niemal wypchnięta na zewnątrz, a po chwili Helena słyszała tylko oddalające się równe kroki.

Wyszła za nimi, patrząc, jak oddalają się w kierunku rynku. Zapewne szli do aresztu na Kaliską.

„Boże”.

Oparła się o mur kamienicy i przez chwilę próbowała złapać oddech.

Jeszcze do niej nie dotarło, co się stało.

Strach o życie cioci mieszał się z żalem do niej, że niemal po trzech latach wyszła z ukrycia, oraz wściekłością na tego, kto doniósł do gestapo, że widział Niemyjską w Pleszewie. Czyżby Grunwald? Zawsze był miły, do polityki się nie wtrącał, ale przecież był Niemcem, chociaż pochodzącym z Pomorza.

A przecież ciocia była przez długie miesiące bezpieczna w twardowskim domu prostego rolnika Wojtczaka, przebrana za pomoc do pracy w polu. Do tego stopnia, że nawet zaczęła udzielać tajnych lekcji języka polskiego i historii wiejskim dzieciom z zaufanych rodzin.

Helena wiedziała jednak – i w gruncie rzeczy rozumiała – dlaczego Stefania tak zrobiła.

Dlaczego wróciła na Gnesenstrasse.

Nie mogła żyć bez męża i Elizy, a dodatkowo odsunięcie od pracy w konspiracji podcięło jej skrzydła. Rzykując życie, wróciła do kamienicy, do wszystkiego, co kochała.

Mimo sierpniowego upału młoda Szewczyńska poczuła, że cała się trzęsie jak w febrze. Odsunęła się od kamienicy i spojrzała, czy aby nikt z domowników nie patrzy przez okno. Chciała oszczędzić im widoku odprowadzanej przez gestapo Stefanii.

Jednak w oknach jej obecnego mieszkania, jak również tego niegdyś należącego do Eugeniusza, a wcześniej do Aleksandra Millera, było ciemno. Bezwiednie przeniosła wzrok na drugą stronę, gdzie znajdowało się tylko jedno mieszkanie, kiedyś należące do rodziców Feliksa, a teraz zamieszkane przez Huberta Grunwalda i jego młodą żonę Annę.

W jednym z pokoi – Helena domyśliła się, że to salon – świeciło się słabe światło. Hubert Grunwald stał w oknie, a gdy zobaczył, że Helena na niego patrzy, przyłożył rękę do serca, ścisnął dłonie i je uniósł.

Czuła, że jest to gest solidarności.



*Sięgnij po
więcej!*



 www.wydawnictwokobiece.pl

 [kobiece](#)

 [wydawnictwo.kobiece](#)